



ORZEL BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XX
LONDYN—PARYŻ



NR 47/960 (656) CZWARTEK 24 listopada 1960

W TYM NUMERZE
DODATEK SPECJALNY

*Leżymy
pięknym*

11 LISTOPADA

W niedzielę 20 listopada 1960 r. w londyńskim Westminster Cathedral Hall, zapelnionym szczerze publicznością, odśpiewaniem „Gaude Mater Polonia” przez Chór im. Chopina, prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii red. P. Hęciak zagał obchód witając na wstępie imieniem Zjednoczenia oraz Związku Ziemi Płd.-Wschodnich: członków Rady Trzech, gen. W. Andersa i gen. T. Bora-Komorowskiego, przew. Rady Jedności Narodowej dr T. Bieleckiego, ks. inf. B.

Michalskiego, generałów B. Ducha, J. Głuchowskiego, M. Kukieła, R. Odziejewskiego i J. Wiatra oraz wszystkich przybyłych.

Po złożeniu hołdu wielkim przywódcą, którzy do odzyskania niepodległości poprowadzili naród podczas ubiegłej wojny a w szczególności pamięci J. Piłsudskiego, R. Dmowskiego i I. Paderewskiego, a dalej całemu pokoleniu narodu, które tak wspaniale wypełniło

wówczas swój obowiązek wobec ojczyzny, mówca wezwał do uczczenia pamięci poległych dla Polski w walkach wielkopolskich, śląskich, w obronie Lwowa czy w walce z bolszewikami przed czterdziestu laty.

Po powstaniu zebranych i chwili skupionego milczenia, przewodniczący zwrócił się o wygłoszenie przemówienia do gen. Andersa, który powitany serdecznymi oklaskami wszedł na estradę.

Przemówienie gen. Andersa

Obchodzimy dzisiaj 42 rocznicę — rozpoczął gen. Anders — powrotu znowu do życia w listopadzie 1918 niepodległego Państwa Polskiego. Powstało ono bez pomocy z zewnątrz a tylko własnym wysiłkiem zbrojnym i politycznym. Decydujące było to, że przez blisko 150 lat niewoli z pokolenia na pokolenie przekazywano gorące uczucia miłości Ojczyzny i niewygasłą wolę odzyskania niepodległości. Kiedy nadeszły zaś sprzyjające okoliczności międzynarodowe, kiedy runęły zaborcze potęgi, naród nasz powstał do życia wolnego. Po latach zmiennych losów wojny, z chwilą przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych sprawa Polski stała się jednym z wyraźnych postulatów politycznych koalicji zachodniej. Paderewski, kładąc na szalę swoje wielkie nazwisko, wpłynął skutecznie na amerykańskich mężów stanu w tym kierunku. 8-go stycznia 1918 roku prezydent Wilson ogłosił 14 punktów warunków pokojowych, w których słynny punkt 13 mówił o niepodległej Polsce. Ten akt należałoby nazwać pierwszą współczesną podstawą współpracy politycznej polsko-amerykańskiej. W Paryżu działał Komitet Narodowy Polski pod przewodnictwem Dmowskiego. Jego wielką zasługą było wydanie przez zachodnio-europejskie mocarstwa koalicji podobnej deklaracji w sprawie naszej niepodległości, a później wytrwała obrona sprawy granic Polski.

10-go listopada 1918 roku przybył do Warszawy Józef Piłsudski, dotychczasowy więzień stanu z Magdeburga. Jakby instynktem wiedziony naród polski przyjął to za hasło do zrzućcia okupacji niemieckiej. Płonęła wolność rozgorzała w sercach wszystkich Polaków i kolejno Lwów — którego zwycięską obroną dziś także święcimy — Wielkopolska i inne ziemie wypędzają zaborców. Wkrótce rozpała się na całym froncie wschodnim wojna z najeżdżącą bolszewickim, wojska nasze posuwają się naprzód i wyzwalają z kolei Wilno. Ale dopiero następny rok 1920 przynosi ostateczne zwycięstwo w wojnie z Sowiecami. Było to zwycięstwo całego narodu, prowadzonego przez Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego i tej miary polityków co Wincenty Witos i Ignacy Daszyński.

Po utracie niepodległości — Kraj i emigracja

Dziś mija 42 lata od odzyskania niepodległości i lat 21 od wybuchu drugiej wojny światowej, w wyniku której — mimo całego naszego wysiłku

żołnierskiego i krwi przelanej — niepodległość tę utraciliśmy. Jesteśmy na uchodźstwie jako wyraz protestu narodu polskiego przeciwko narzuconej Polsce władzy sowiecko-komunistycznej. Jesteśmy tutaj po to aby walczyć i wołać o to o co naród nasz w Kraju walczył i wołać nie może. Każdego dnia pamiętać musimy, że sprawa najwyższego dobra naszego narodu, sprawa odzyskania wolności i niepodległości jest naszym nadrzędnym najwyższym celem. Pamiętajmy o tym zwłaszcza ilekroć myśli nasze zwracają się ku Polakom w Kraju, ku całej Polsce. A tam dzieje się źle.

Rozym panującą w Polsce coraz bezwzględniej stara się zniszczyć ducha polskiego i wszystko to co jest dobrem moralnym narodu, odebrawszy już niemal całkowicie ludziom nadzieję na poprawę ich materialnej egzystencji. Najostrzejsze ataki, otwarte i podstępne, kierowane są przeciwko Kościołowi. Nacisł administracyjny łączony jest z brutalną ingerencją w wewnętrzne życie Kościoła. Był seminarium duchownych jest zagrożony. Chodzi o rzecz dla najeżdźcy komunistycznej najważniejszą: o zatrucie ducha i odebranie wiary narodowi, ale celu tego wróg nie osiągnie.

Ostatnio władze w Polsce uznały, że nawet wojsko, szkolone na wzór sowiecki i od lat nasycane propagandą komunistyczną nie jest pewnym narzędziem w rękach swych dowódców. Świadczy o tym wprowadzenie nowego systemu „współpracy” i t.zw. „zbliżenia” pomiędzy oddziałami polskimi a żołnierzami sowieckimi. Zbliżenie to, jak się mówi, dla lepszego wzajemnego poznania, obejmuje również godziny poza służbowe. Krótko mówiąc Sowiety, pomimo tylu lat usilnej komunikacji i sowietyzacji, nie ufają żołnierzowi polskiemu i zamierzają nadzorować go coraz dokładniej.

Z krzywdą dalszą głodowych warunków egzystencji ogółu ludności polskiej oczekiwana jest przymusowa zmiana wartości złotego, w ślad za sowiecką rewaloryzacją rubla i wydanie nowych zarządzeń o t.zw. opłatach celnych. Chodzi o zamknięcie drogi pomocy z zagranicy dla osób najbardziej potrzebujących, aby już wszyscy bez wyjątku w naszym nieszczęśliwym Kraju zostali materialnie na łasce i nielasce reżymowych władz.

Jeśli chodzi o sytuację polityczną w Kraju, nie ma już nikogo koby wierzył, że październik roku 56-go był etapem do wolności politycznej. Koby jeszcze miał złudzenia niech przyjrzy się fotografiom z inauguracyjnych ze-

brań obecnego zjazdu w Moskwie. P. Gomułka jest tam umieszczony tuż po lewej ręce Chruszczowa, wśród najwyższych dygnitarzy, wyraźnie wyróżniony spośród innych namiestników satelickich. Protokół dyplomatyczny w państwie sowieckim bardzo dokładnie i znacząco każdemu wyznacza jego miejsce. Zarówno my tutaj jak i wszyscy w Polsce wiedzą dobrze co o tym myśleć.

Sytuacja międzynarodowa i stosunek sił

Sytuacja międzynarodowa należała na tym jak od końca wojny, że stoją naprzeciw siebie dwie potęgi, bloku sowieckiego i świata wolnego, ale stosunki między nimi uległy głębokim zmianom. Minął okres dążeń do rozbrojenia się ze strony Zachodu i poprawił się wzajemny stosunek sił. Nawet wstrzemięźliwa W. Brytania rozumie potrzebę gotowości obronnej, a ostatnio otwarła w jednym z portów bazę dla amerykańskich atomowych łodzi podwodnych *Polaris* uposażonych w rakiety z pociskami wodorowymi o najdalszym zasięgu. Stany Zj. mają mieć niedługo tych łodzi 45 a każda z nich rozporządzać będzie 16 raketami o łącznej sile niszczylińskiej, równej potencjałowi bombardowań wszystkich państw w drugiej wojnie światowej. Jest to wiadomość przejmująca grozą ale jest zarazem przelomową w rachunku sił pomiędzy Zachodem i Sowietami. Od tej chwili bezprzedmiotowe stają się głośnie przechwałki p. Chruszczowa, że może on za jednym zamachem zniszczyć całą siłę odwetu amerykańską. W łodziach „*Polaris*” płynących miesiącami bez wyunurzania się, wyrzutnie pocisków amerykańskich są nie do trafienia. Są one stale w ruchu i to pod powierzchnią morza.

Ponadto, jak ostatnio dowiedzieliśmy się, pocisk amerykański wyrzucony w orbitę ziemi i skierowany do przelotów specjalnie nad terenami będącymi w rękach sowieckich, dostarczył informacji fotograficznych, a część tego pocisku została za pomocą zadziwiająco precyzyjnego mechanizmu skierowana z powrotem do ziemi i przejęta w locie przez czekające na samoloty amerykańskie. Największy pesymista na Zachodzie musi dziś przyznać Ameryce pierwszeństwo w tych najnowocześniejszych środkach techniczno-wojskowych. Co więcej, ten ostatni wyczyn zrobił istotny wyłom w nienaruszalności tajemnic terenu sowieckiego.



W czasie obchodu święta Niepodległości w Stafford (W. Brytania), o czym pisałismy w ub. tygodniu, odbyło się poświęcenie sztandaru miejscowego Koła SPK. Zdjęcie przedstawia moment wbijania gwóźdźa pamiątkowego przez gen. Władysława Andersa. Obok: prezes Koła SPK, F. Bolechowski.

Niemniej, strona sowiecka nie zaprzestaje agresywnych i dywersyjnych działań na coraz nowych obszarach kuli ziemskiej, w płd. wsch. Azji, Afryce a wreszcie ostatnio także na półkuli zachodniej. Wiele jednak na to wskazuje, że rządy zachodnie zdecydowały się przeciwdziałać wszelkiej dalszej agresji sowieckiej, że pogroźki Moskwy się nie boją i są świadome swojej przewagi wojskowej. To wszystko jest nowym czynnikiem biegu wydarzeń międzynarodowych, których toku niesposób przewidzieć.

Obowiązki emigracji

Na tle tej sytuacji szczególnie ważne obowiązki ciążyą na Polakach znajdujących się poza granicami Kraju. W wolnym świecie jest nas blisko 10 milionów — Polaków i ludzi pochodzenia polskiego. Jest to wielka siła, która powinna dać podstawę działaniom w naszej największej i najważniejszej sprawie: przywrócenia Polsce niepodległości. Gdybyśmy wszyscy byli w pełni świadomi znaczenia jakie mieć możemy w pracy skoordynowanej i zgodnej na rzecz sprawy polskiej, to obowiązek nasz napewno byłby dobrze spełniony. Działania nasze powinny być oparte o własne podstawy materialne i dlatego z naciskiem wzywam dotąd jeszcze opieszających, aby powiększyli szereg członków Skarbu Narodowego.

W rozważaniach polityków i mężów stanu na Zachodzie sprawa polska przedstawia się, jako zagadnienie wymagające rozwiązania. Podczas wyborów amerykańskich obaj kandydaci na prezydenta składali oświadczenia, że Polska powinna odzyskać wolność. Stanowisko Francji w sprawie naszych granic zachodnich, tak wyraźnie sformułowane przez prezydenta de Gaulle, jest już obecnie przyjmowane jako stały czynnik w przewidywaniach i planach wielu polityków zachodnio europejskich.

Naszym obowiązkiem jest nie ustawać w przypominaniu światu, że nie będzie prawdziwego pokoju na świecie dopóki Polska i inne narody europejskie, pochłonięte przez Sowiety, nie

(Dokończenie na stronie 4-tej)

UCZCZENIE PAMIĘCI TOMASZA ARCISZEWSKIEGO

W piątą rocznicę zgonu Tomasza Arciszewskiego, wielkiego przywódcy PPS w czasie okupacji hitlerowskiej w Kraju i bojownika o niepodległość oraz premera rządu emigracyjnego w Londynie w najtrudniejszym dla tego rządu okresie odprawiona została w Brompton Oratory w Londynie Msza św. za spokój jego duszy. Msza św. odprawiona została staraniem wdowy po Zmarłym, pani Melanii Arciszewskiej i syna. W Mszy św. wzięła udział liczna rzesza przyjaciół i znajomych Zmarłego oraz członkowie Rady Trzech: gen. W. Anders, amb. E. Raczynski i gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego dr W. Czerwiński oraz przedstawiciele życia politycznego i innych organizacji. W godzinach popołudniowych złożony został wieniec na grobie pod pomnikiem na emmentarzu Brompton.



PIOSENKA POLSKIEGO KOMUNISTY

Skowronek śpiewa, słonko dogrzewa,
Na łące skacze cięta,
Oto nadchodzi cudna wiosenka
Ze Związkiem Radzieckim na czele!

Jesień na dworze, dojrzało zboże,
Każda jagoda i ziele,
Ochoczo dzielimy się z sąsiadami
Ze Związkiem Radzieckim na czele!

Zima, mróz trzyma, a węgla nie ma
I mięso tylko w niedzielę,
Żeby raz diabli wzięli to wszystko
Ze Związkiem Radzieckim na czele!

St. Kotwicz

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Droga powrotna

POWIEŚĆ

— Nie-e... — Staś przestąpił z nogi na nogę. — Narzeczona. Pobrać się chcemy.
— Ileż ty masz lat?
— Osiemnaście — zełgał bezczelnie.
— Opowiedz, jakie są objawy.
Słuchał uważnie, postukując palcami w blat stołu.
— Jeśli są początki tyfusu, to ja nic nie poradzę. Nie mam odpowiednich lekarstw, rozumiesz? Wczoraj w nocy zachorowała, przed jutrem nie będzie można stwierdzić, czy rzeczywiście tyfus. Przyjdź jutro z samego rana — zaprowadzisz. Ale taką drogę masz wybrać, żebym jak najmniej sług Antychrysta napotkał. Złoto zabierz, za złoto mnie nie kupisz. Anna Michajłowna, proszę otworzyć walizkę, powinno jeszcze być parę tubek piramidonu.

Wręczył Stasiowi lekarstwo.
— Jeśli gorączka nie spadnie w ciągu dnia, dawaj jej jedną pastylkę co trzy godziny. Jedzenie tylko płynne, najlepiej mocny rosół. W Boga wierzyć, mam nadzieję... Więc módlcie się oboje, żeby to nie był tyfus. Jutro przyjdź jak najwcześniej.

W przedpokoju zatrzymała go siwa pani.
— Daj, chłopcze, tę monetę — powiedziała szeptem. — Bardzo się przyda. Przecież w zupełnej nędzy żyjemy. Nie dziw się memu mężowi, że tak o Antychryście rozprawia. Za dużo wycierpiał i trochę zdziwaczał. Jutro przyjdź wczesnym rankiem. W Boga nadzieja, że ta twoja dziewczyna wydobrzeje.

Pocałowała chłopca w czoło, otworzyła drzwi. Zleciał ze schodów, przeskakując po kilka stopni naraz. Wstąpiła w niego wielka otucha, był już pewny, że Szurze nic się nie stanie. Gwiżdząc, biegł słoneczną ulicą. Rozbojowi udzielił się dobry humor Stasia, wyrwał w podskokach, radośnie powarkując, wyprzedzał go, nawracał, naszczekiwał.

Annuszka stała na czworakach przed zaimprovizowaną kuchenką i zawzięcie dmuchała w tłące się patyki. Błękitnawy dymek snuł się leniwie w górę. Usłyszała Rozboja, podniosła się.
— Jak Szura?

Dziewczynce puściły się obfite łzy.
— Znowu dostała silnej gorączki. I dreszcze ją trzęsą. Cała rozpalona.
— Zjadła co?

— Nie chciała. Mówi, że gardło ma ściśnięte, przełknąć by nie mogła.

— Doktor kazał tylko płyny. Kupiłem kurę — rozwinął paczuszkę — rosół ugotujemy.
— Nie mogę ognia rozpalic. Męcę się od pół godziny.
— Zaraz rozpalę. Pokraj kurę na kawałki.

Odłożył poczerwiałe patyki, odgarnął popiół, ustawił cegły w inny sposób. Skrzeszał ognia i po paru minutach drewnianka zajęły się trzaskającym ogniem.

— Podkładaj, żeby nie zgasto. Pójdę zobaczyć, jak Szura, i zaraz wrócę.

Dziewczyna była na pół przytomna. Miotła się na pos-

66) laniu, jęczała, w pierwszej chwili nie poznała go. Ujął gorącą dłoń, pocałował.

— Byłem u doktora. Podobno bardzo dobry, profesor uniwersytetu. Jeżeli ci samo nie minie, przyjdzie jutro i zbada. A na razie dał pastylki na spadek gorączki. Piramidon się nazywa.

Z trudem ją dźwignął do pozycji siedzącej, bo mu leciała bezwładnie przez ręce. Przeknęła lekarstwo, popiła wodą. Ułożył poduszkę wyżej. Włosy rozsypały się dokoła głowy, żrenice zrobiły się ogromne, rozchylone wargi pulsowały ciemną krwią. Od skroni i ramion biło gorąco. Kurczowo ścisnęła rękę chłopca.

— Powiedz, Stasiu, ja nie umrę? To nie tyfus? Obejrzmie dokładnie, czy plamy nie pokazały się.

Podniósł koc i ściągnął nieco koszulę. Ciało pulsowało żarem, ale na piersiach, ani na ramionach niczego nie zauważył. Na brzuchu i biodrach również znaków nie było.

No, widzisz, żadnych plam nie ma. Jaki tam tyfus! Przeziębiasz się i tyle. Za dzień, dwa będziesz zupełnie zdrowa. Udało mi się kupić kurę, Annuszka rosół gotuje.

Leżała nieruchomo, wpatrzona w sufit, słuchając uspakajających słów Stasia. Czasem odpowiadała monosylabami. Zamknęła oczy, wydało mu się, że drzemie. Zszedł na dół, usiadł przy ogniu i zamyślił się ponuro. Ożywienie i dobry humor, które go opadły po wizycie u doktora, znikły bez śladu. Suche kawałki desek płonęły z trzaskiem, gotujący się rosół buzał pod pokrywą. Annuszka odganiała muchy gałązką akacji. Rozbój siedział w cieniu rozbitego muru, ziewał i mrużył ślepią.

Po paru godzinach gorączka nieco spadła, dreszcze mniej dokuczały. Chora wypiła filiżankę rosółu, ożywiła się. Dał jej znowu pastylkę, namówił na drugą filiżankę. Zajrzał Barnaba, przyniósł butelkę octu. Nacierali starannie rozpalone ciało, potem obmyli ciepłą wodą. Jeszcze po godzinie gorączka spadła gwałtownie, puls był prawie normalny. Uradowany Staś uznał, że to przesilenie choroby. Ale przed wieczorem temperatura znowu poszła w górę, powrócił silne dreszcze, nieznośny ból głowy, łamanie w członkach.

Szura nie chciała wypić resztek rosółu, rzuciła się niepokojnie na łóżko, chwilami wydawało się, że traci przytomność. Gdy zapadł zmrok, Staś zapalił świeczkę i wbił ją w szparę stołu. Dziewczyna otworzyła oczy. Cicho za-
jęczała.

— Jeszcze nie umarłam, żebyś mi palił gromnicę.

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się niechętnie do ściany. Miał nadzieję, że zaśnie. Annuszka siedziała na podłodze w nogach Szury, pochlipując od czasu do czasu. Chora przekreśliła się na plecy, ściągnęła z siebie koc. Oczy miała szeroko otwarte, spojrzenie nieprzytomne. Spieczona usta łapały powietrze. Podciągnęła rozchylone kolana, rozrzuciła ramiona. Usłyszeli najpierw jęk, który zaraz przeszedł w żalosne zawodzenie. Rzuciła się, uderzyła głową o ścianę. Z największym wysiłkiem zdołał przytrzymać rozpalone ramiona.

— A-aa-a — zawodziła Szura w gorączkowym delirium — a-aa-a... Ciociu, ciociu, nie puszczaj ich do izby, zabijają!... Kudłaty, czarny — najgorszy, siekierę trzyma za plecami! Ciociu, ciociu kochana!

Krzykom nieprzytomnej zawtórował rozpaczliwy szloch Annuszki. Chłopiec umaczał ręcznik w wodzie i przyłożył do czoła Szury. Ucichła na chwilę. Z trudem łapała powietrze. I znowu rozległo się nieprzytomne wołanie: — Ciociu, ciociu kochana!

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROCZNIK SPRAW KRAJOWYCH

wydawnictwo Instytutu Badania Zagadnień Krajowych — dające prawdziwy obraz położenia Polski pod rządami komunistycznymi — do nabycia w cenie 18/6

W

GRYF PUBLICATIONS LTD.

169, Battersea Church Road, London, S. W. 11

i we wszystkich księgarniach polskich



BILETY
PODRÓŻE
WAKACJE

Transfery do Polski

STANMORE

TRAVEL AGENCY

121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S. W. 5. Tel. FRE 1155

WYSTAWA OBRAZÓW

Maud Sumner

Czesław Rzepiński

(do 10 grudnia)

Galeria Grabowskiego

84, Sloane Avenue, London, S.W.3.

OTWARTA CODZIENNIE

godz. 10 — 6 pp.

za wyjątkiem niedziel i świąt.

POLACY KUPUJĄ — POLSKIE KALENDARZE

Już ukazały się na rok 1961:

Kieszonkowy

KALENDARZYK KOMBATANTA

Cena: 4/- w reks. oprawie i 7/6 w skórzanej

o r a z d o m o w y

KALENDARZ POLSKI

Ciekawa treść — informacje i porady — krzyżówki, humor i sport.

Kolorowa okładka. — Cena 4/6.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz u wydawcy:

GRYF PUBLICATIONS LTD.,

171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.

Tel. BAT. 0879 i 1445

DOSKONAŁY PODAREK NA ŚWIĘTA — ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI:

WÓDKA WYBOROWA

79 Pr. (45%)

¾ litra — 43/-; ½ l. — 28/6; ¼ but. — 22/-; setka — 7/3; min. — 4/-;

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. ¾ ltr. — 30/-;

WISNIOWKA 70 Pr. ¾ ltr. — 28/-; ¼but. — 21/6;

setka — 7/-; min. — 3/9;

SPIRYTUS 140 Pr. ¼ but. — 36/6; min. — 6/6;

SPIRYTUS 100 Pr. ¼ but. — 28/-;

ZUBRÓWKA 70 Pr. ¾ ltr. — 28/6;

KRUPNIK 70 Pr. ¾ ltr. — 30/-;

JARZEBIAK 70 Pr. ¾ ltr. — 28/6; min. — 3/9;

GOLDWASSER 70 Pr. ¾ ltr. — 28/6; min. — 3/9;

STARKA 87 Pr. ¾ ltr. — 36/6;

CASSIS 61 Pr. ¾ ltr. — 26/-; min. — 3/9;

CHERRY LIQUEUR 50 Pr. ¼ but. — 17/-;

SOKI OWOCOWE

W A W E L oryginalny polski miód pitny

PIWO ŻYWIECKIE, OKOCIMSKIE I PORTER ŻYWIECKI

Do nabycia w każdym dobrym sklepie win i wódek, w klubach i restauracjach

Wyłączni importerzy i przedstawiciele na Wyspy Brytyjskie:

TURNER-ROCHE & CO. LTD.

21, Old Compton Street, London, W. 1. Tel.: GER 3367 (5 linii)

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Ze piórem

Dodatek do numeru 47/960 (656) z dnia 24 listopada 1960 r.

WIT TARNAWSKI

ALGIER BEZ POLITYKI

ZA KILKA dni miałem wyruszyć w głąb Sahary i wszystko inne straciło smak. Czas oczekiwania w Algerze dłużył się już niezmiernie. Trzeba go było czymś wypełnić. Ktoś doradził mi Cherrchell — dawną Cezareę Rzymian, przy czym można było obejrzeć również ruiny Tipazy, które znajdowały się po drodze. Niezbyt daleko, zabytki ciekawe, morze. Pojechałem zaraz następnego dnia.

Zacząłem od Cherrchell. Ale prawie nudziłem się przez kilka godzin, które przyszło mi spędzić w tym mieście, od przyścia do odejścia autobusu. Resztki kolumn kapiteli, jakby upozowanych pośrodku miejskiego placu, z wygodnymi ławkami i regularnie posadzonymi drzewkami; w innym miejscu rozkopana ziemia i trochę starych murów, duszących się w szczelnym zamknięciu domów nowego miasta; wreszcie „muzeum“ w nowiułkim gmachu, gromadzące z banalną pieczołowitością najpospolitsze okruchy pomników starożytnej Cezarei — wszystko to zapadło w duszę naглуcho, całkiem bez wrażenia, a nawet po swojemu gniewało.

Uciekłem od tej wyczekiwanej przez nowe życie starożytności nad morski brzeg, skąd widziałem już tylko morze i mały basen starorzyskiego portu. Do tego stopnia miałem dość snobizmu antyków, że w drodze powrotnej zatrzymałem się w Tipazie tylko przez lojalność w stosunku do pierwotnego zamiaru.

Zostałem za to niespodziewanie nagrodzony. W Tipazie, przeciwnie jak Cherrchell, nowe i stare miasto zaledwie się stykają. Starożytna Tipaza jest tak ukryta wśród drzew pięknego parku Tremaux, że ani się jej od strony nowego miasta nie dostrzega, ani się miasto wtrąca w spokojne widoki ruin. Utajona w dzikim gąszczu, wyglądająca jedynie na morze rozległe i puste, robi stara Tipeza wrażenie zupełnego odludzia — sam na sam umierającej przeszłości z przyrodą.

Przy tym miejsce zostało na tamto dawne życie wyjątkowo szczęśliwie dobrane. Ruiny rozsiane są na wzgórzu, nad wysokim skalistym brzegiem. Wprost z wielkich, kamiennych płyt starego forum

patrzy się na wyniosły przylądek Chenona i słucha uderzenia fal o skały. Zewsząd strzelają z pomiędzy wietrzejących murów, dzieląc je jakby na wyspy kamienne, najróżniejsze rodzaje drzew i krzewów: eukaliptusy, pinie, kaktusy i inne, nieznane mi z kształtu ni nazwy. Starym kamieniom dobrze jest w tym otoczeniu.

Tam dopiero zrozumiałem z jakiego powodu nie podobało mi się Cherrchell; od czego zależy urok lub banalność ruin. Resztki ginącej przeszłości, którymi przystraja się i chełpi nowe życie, nic z nią w gruncie nie mające wspólnego — rażą i same w takim towarzystwie pospolicieją. Naturalnym dziedzicem zakończonego życia jest przyroda. Z pustki bowiem i gąszczu wyrosło niegdyś to życie i w pustkę i gąszcz z kolei się obraca. Stąd zapewne, bujna, zachłanna przyroda i ruiny godzą się ze sobą i harmonizują jak dopełniające się wedle odwiecznego prawa kolory.

Przychodzi mi oczywiście zaraz na myśl, że w Rzymie wrażenie było inne. Kościec starego miasta dzięki swojemu ogromowi i furii jest tam udzielną i niepodległą nowoczesnemu życiu potęgą. Przeszłość jeszcze się nie poddała. Ale czy, mimo wszystko, nie byłoby lepiej staremu Rzymowi umierać gdzieś wśród głuchego stepu, jak Timgaad lub w głębi puszczy, jak miasta Majów? Czyż Colosseum albo Termy Caracalli, obojętne i wzgardliwe względem wszystkiego co je otacza, nie zdają się prosić już tylko o zapomnienie?

Bou—Saada

Autobus z Algeru do Bou—Saady odchodzi o godz. 12-tej. Cały ranek spędziłem na uganianiu się po mieście w rozmaitych sprawach, zakupy, bank, potwierdzenie paszportu, aż wreszcie zziąjany i w lęku, czy się nie spóźnię, zdążyłem przed samą dwunastą na autobus.

O dwadzieścia kilometrów za Algerem gościniec przebija góry Małego Atlasu. Wchodzimy we wnętrze tych gór śladem strumieni, które były tu poprzednikami a teraz są sojusznikami człowieka. Droga w śmiałych zakosach wspina się na strome zbocza, wybierając po kolei jary coraz bliższych szczytom potoków. Od czasu do czasu, gdy górski gościniec zwinął się już na zboczu po wiele razy a dno jaru zapadło się groźnie w dół, skręcamy nagle na drogę dolinną, bezpieczną, niemal tuż nad brzegiem strumienia, bo weszliśmy w jakiś nowy, wpadający do poprzedniego, parów, jak gdyby wstępując na wyższy stopień ziemi. A potem wszystko powtarza się *da capo al fine*: pniemy się skosem w górę, potok zostaje w dole, przepaścistość jaru rośnie — póki raz jeszcze nie skręcimy w bok, w łożę wyższego strumienia.

Jesteśmy już w wysokich górach — poznać to choćby po ich nagości. Na płowo-rudym tle znaczą się tylko w bladym słońcu rzucone tu i ówdzie kępy krzewów, jak ciemne centki na skórze zwierza. Jeszcze rzadziej — zaledwie kilka w całym krajobrazie — leżą niskie, długie chaty tubylców o słomianych i prawie płaskich dachach, jak zazwyczaj w górach, by mogły się w takim przywarciu do ziemi oprzeć halnym wiałom.

W. P. 25435

Wjeżdżamy na przełęcz. Po drugiej stronie ostre słońce i nagość gór zupełna — forpocztę pustyni. Ale nie tracimy już zdobytej wysokości: zjazd ku pustyni jest stopniowy i łagodny w krainę wyżynną, o niewielkich, rozrzuconych wśród pustki, garbach. Charakter krajobrazu stepowy. Spotyka się coraz więcej stad owiec, spędzanych z drogi krzykiem i gwałtownymi ruchami rąk przez pasterzy w białych opończach — gdy z obłoków kurzu wylania się pędzący autobus. Mijamy tabuny koni prowadzonych przez samotnych koniuchów, to na odmianną całe kawalkady tubylców na osiołkach. Wreszcie dla pełni obrazu wielbłądy: dwa kroczą poważnie drogą a całe stadko pasie się w głębi stepu.

Step ten wydaje się zbronowanym polem, porośniętym rzadkimi chwastami. Zrazu dziwię się, że tyle tu jeszcze ornej, uprawionej ziemi. Ale naraz poznaję, że jest to tylko zeschnięta nierodząca niczego glina, czesana najwyżej przez wiatry stepowe — że to już przejście stepu w pustynię.

Tu i ówdze przecinają tę gliniastą pustkę głęboko zaryte, piaszczyste łożyska potoków — co prawda potoków tylko z nazwy, bez jednej kropli wody. Niemniej w wyschłym ich dnie krzewią się oleandry, kaktusy i tuje, żywione widać resztkami wilgoci po wodach, które spływają tu z gór w czasie rzadkich deszczów.

Od czasu do czasu z pustki wyrasta kilka tubylczych chałup z kamienia albo z wyschłej gliny, opodal zaś gaik palm daktylowych w otoku głębokich dolów, z których wyglądają czuby młodych palmowych sadzonek. Do tego stado owiec, lub kóz i kilkoro brązowych dzieci i struga wody, nieodłączny „ned“ dopełnia obrazu takiej miniaturowej oazy. Czasem „ned“ jest strumyczkiem, zdawałoby się, nie szerszym od ostrza noża, położonego wśród piasków. Wtedy oaza jest biedna i łysa, prawie bez palm. Wszystko zależy od sutości życiodajnego strumienia.

Autobus, który z Algieru wyszedł prawie próżny, wypełnił się już Arabami tak, że siedzą w kucki nawet w przejściach wśród krzesel. Mdły zapach starego sera i pieluch uderza z ich nienadto białych burnusów. W pewnej chwili wszyscy zaczynają sobie coś żywo pokazywać. Przed nami widać wielką chmurę deszczową z łukami tęczy po bokach. Wkrótce przez otwarte okno uderzają o moją twarz pierwsze krople deszczu. I wtedy zaczyna się w autobusie niezwykle ruch. Arabowie klaszczą w ręce, podnosi się radosny gwar, wszystkie usta otwierają się w szczęśliwym uśmiechu — aż ja sam zaczynam witać podobnym uśmiechem to błogosławieństwo wody. Jakiś Francuz jadący w autobusie mówi, że deszczu nie było tutaj już od dziesięciu miesięcy.

Gdy kładłem się w Bou-Saadzie do snu deszcz lał jeszcze wiadrami, kiedy zaś obudziłem się i wyjrzałem na balkon był znowu jasny, aż oslepiający światłem poranek. Przed moim hotelem na ustronnym dziedzińcu rozbierało się właśnie dwóch Arabów, w celach, że się tak wyrażę, owadobójczych. Zacząłem się im przyglądać zaciekawiony obfitość

cią szmat, jakie noszą na sobie ci mieszkańcy południa. Najpierw opadł burnus, biały (nienadto) płaszcz wełniany, potem długa także jakoby biała koszula; dalej zaczęła się najbardziej indywidualna część stroju, zbiorowisko przeróżnych łachów, z pod których dopiero ukazało się brązowe ciało. Koźle ciżmy na nogach i chusta owinięta wielokrotnie dookoła głowy dopełniały tej skomplikowanej ochrony moich Arabów, niewiedomo, bardziej przed chłodem, czy upałem pustyni?

Wychodzę z hotelu. Dzień jest targowy, więc na ulicach kręcą się tłumy przybyłych z pustyni nomadów (spośród nich właśnie rekrutowali się aktorzy przedstawienia na dziedzińcu przed moim balkonem).

U bramy hotelu, jak zwykle, zgromażają przewodników, czyhających na nielicznych w czasie obecnym turystów. Wybrałem, ku żalostnemu cmokaniu zawodowych „guidów“, małego, sprytnego chłopczykę w odchylonym na tył głowy czerwonym fezie i z rękami w kieszeniach, który świetnie grał rolę zawodowca, choć od czasu do czasu, gdy mu się powaga znudziła zaczynał śpiewać jakieś swoje piosenki, wiercił dziury w piasku i wyłamywał kije z przydrożnych krzewów.

Ten właśnie mały — dorosły, który objaśnił mnie między innymi, że „ci naprawdę dorośli przewodnicy to są wygi, co za dobre pieniądze pokazują za ledwie połowę tego, co powinni“ i że tylko on pokaże nam wszystko, jak należy — otóż ten obrotny chłopczyka odprowadził naszą grupę nie tylko po wszystkich zachwalanych ciekawostkach Bou-Saady — od tańców dziewcząt z Uled-Nail do grobowca francuskiego malarza Dineta, lecz powiódł w końcu na przemianą wędrowkę po „palm.arni“, największym skarbie oazy — rozciągniętym wzdłuż potoku ogrodzie palmowym, gdzie każdy mieszkaniec wsi ma swoją działkę.

Chłopak wprowadził nas również do działki swego ojca do „mon jardin“, gdzie wśród strzelistych palm daktylowych, rozłożystych figowców, drzewek brzoskwiniowych i olbrzymich kaktusów rodzących jadalne owoce, ścieliły się na wyschłej ziemi różnego rodzaju grządki z bobem, pomidorami, cebulą i innymi warzywami, całkiem jak się je widuje w naszych ogrodach. Wodę dla tej spragnionej ziemi doprowadza się raz na tydzień z życiodajnego potoku rowkami rozbiegającymi się po całej palmiarni i to ponoć wystarcza, by wszystko rosło i dawało plon.

Kilka słupków wbitych w ziemię w środku „posiadłości“ stanowiło, jak nas objaśnił „właściciel“, zrąb letniego mieszkania, dokąd po zimie (nakrywszy słupy daszkiem) przenosiła się cała rodzina by używać letniego chłodu a przede wszystkim pilnować rodzącego się w ogrodzie dobytku. Widocznie, mimo dość wysokich, ale nadkruszonych w niejednym miejscu ogrodzeń z wyschłej gliny, które gęstą siecią oplatają palmiarnię, nie tylko dobytek turystów jest celem pożądania miejscowych amatorów cudzej własności.

Po wyjściu ze „swego ogrodu“ przewodnik prowadził nas łożyskiem „nedu“, który dość skąpą strugą pętał się wśród leżących dokoła wielkich kamieni, a jednak mimo tak niepozornego wyglądu stworzył i utrzymywał całą tę wcale okazałą osadę pustynną.

Spacer był piękny. Przez wysokie pnie palm przeglądały płaskie dachy domów Bou-Saady, obsiadających tarasowo kopiec niskiego wzgórza a w głębi wznosił się spadzisty i płasko u góry ścięty, czerwony brzeg okolicznej pustyni, która niby w kotle, obejmowała wokół oazę.

Kiedy to piszę, późnym już wieczorem, rozdziera mi uszy ostry krzyk osłów i chrapliwe ryczenie wielbłądów — stała muzyka oazy. Tymi niekształtymi, do niczego nie podobnymi głosami zdaje się odzywać sama pustynia. Jej to jak gdyby mowa właściwa, mowa przyrody surowej szukającej nieprzerwanie wyrazu, niezdolnej jeszcze przemówić pełnym głosem. Do pustynnego koncertu brakuje tylko ryku lwa.

Wit Tarnawski

NAJKRÓTSZE

NOWELKI

Prasa krajowa pełna jest tzw. najkrótszych nowelek, będącym czymś pośrednim między aforyzmem, anegdotą a opowiadaniem.

Nie chcąc pozostawić emigracji w tyle, autor emigracyjny, napisał kilka o posmaku autentyczności.

Tragedia miłosna.

Były cztery siostry, zupełnie podobne jedna do drugiej. Jedną z nich miał za żonę. I jakże je odróżniał, zapyta czytelnik.

Właśnie, że ich nie odróżniał. I stąd tytuł: tragedia miłosna.

Rumuńska

Polski uciekinier, mieszkający w Bukareszcie, słyszy od swej kochanki, żony właściciela domu, takie dictum: Daj mi tysiąc lei na sukienkę! Ależ, ja nie mam!

No, to powiem mężowi!

Polski uciekinier liczy ile mu zostało do końca życia godzin. Mąż go zabije.

Przychodzi mąż: „Wiesz co, ta piekielnica chce sukienkę. Ja dam 500 lei, i ty daj 500, dla świętego spokoju!

Wariat

Na kanale, między Dieppe a New Haven. Przez megafon podają, że jedna z pasażerek zgubiła złoty zegarek.

Wszyscy są zasepieni, ale jeden z pasażerów się radośnie uśmiecha.

Wariat! — wszyscy odsuwają się od niego.

Uśmiecha się bo nikt nie wie, że on znalazł ten zegarek.

napisał: Stefan—Stefan

STEFAN LEGEŻYŃSKI

RĘKA NAD WODĄ

COŚ ją obudziło, zimno od wody a może szum. Jestem w piekle, pomyślała, ale zreflektowała się. Jasno uświadomiła sobie, że stało się nie-szczęście. Tama, o co bano się od kilku dni, została uszkodzona. Od tego w jakim stopniu, zależał jej los.

Wyskoczyła z łóżka wprost w wodę i do drabiny, którą miała w pogotowiu. Na strych i przez wyzior na dach. W niepewnym świetle księżycy pobłyskiwało olbrzymie jezioro w które zmieniła się rzeka. Ten widok przeraził ją na dobre i dopiero po chwili poczuła, że jest mokra, zmarznięta i drży na całym ciele.

Poza tym była sama. Dwu pastuchów, którym gotowała i dla których została tu po zwinięciu obozu, było kilka kilometrów stąd na łące górskiej z bydłem. Mieli wrócić jak zwykle dopiero rano, o szóstej, a była teraz, odczytała na gwiazdach, które miały szczyt najwyższej góry, druga w nocy.

Poza tym nie mieli niczego, a koń, gdyby nawet tu dotarli do niej, nie uniesie dwu osób przez taką topliwą.

Zeskoczyła na stryszek, wyciągnęła się na sianie, intensywnie myśląc co zrobić. Serce zabiło jej mocniej gdy wyczuła pod plecami poruszające się deski. Dom nie najlepiej zbudowany gotował się do drogi.

Chmury zakryły księżyc, woda pluskała, a dom jęczał, postękiwał. Poczuli się jak szczur w pułapce. Głupia, idiotka, dlaczego nie uciekła stąd kiedy odjeżdżali inni. Oczywiście byłoby to złamanie rozkazu władz. Tak, ale nie patrzyłaby śmierci w oczy, tak, jak to czyni obecnie.

Na wodzie zamajaczyły jakieś kupy, które dosyć szybko przewalały się ciągnięte nurtem. Co to mogło być, nie wiedziała. Zresztą czy to teraz nie wszystko jedno?

Chciała zejść do izdebki ale drabiny nie było, popłynęła. Popatrzyła na gwiazdy. Zegar niebieski wskazywał na trzecią.

Dom zadrzał, nachylił się, i kiedy rozstały się drewniane jego ściany, osiadł dachem na wodzie. A dach zatańczył i zaczął dryfować w stronę czarnych, wirujących kup.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Tajemnicze kupy to było siano, które woda zabrała. Zresztą siano zamokło i poszło na dno. Taki sam, jak wynikało z logiki, był los dachu.

Ale nie tonął. Jadąc po dnie deski ścian, z którymi był spojony, raz dawał susa przez wodę, to znów przystawał jakby się namyślając co zrobić dalej. Ale wola rzeki była mocniejsza. Helena przestała bać się a opanowała ją złość i bunt. Przepłynę, powiedziała sobie. Ale po pierwsze pływała kiepsko, po drugie nie widać było brzegu. Mogła liczyć tylko na innych!

Strach podniósł jej włosy na głowie, gdy bez dania żadnego znaku dach rozpadł się na dwie części,

(Dokończenie na str. 7)

P O

MIMO wszystko, myśl — skąd się tu wzięłam? nie dawała mi spokoju. Wiem, że nasz wiek daje szalone możliwości techniczne, ale w jaki sposób, w przeciągu pół godziny, znalazłam się w średniowieczu? W dodatku w „Towerze Zielonym“ i usiadłam na krzeselku ogrodowym przy trawniku, tuż koło miejsca gdzie niegdyś stał szafot, a w tej chwili tylko mikrofony? Naprzeciw widziałam niewielką granatowo-czerwoną trybunę, a na niej Chelsea Pensioners. Ich długie, pąsowe surduty i medale dobrze wyglądały na tle drzew, ale w tym otoczeniu jeszcze bardziej podkreślały pewną nierealność czasu. Wiem, że emigracja lubi grzebać się w przeszłości, ale żeby aż taka rozpiętość, by reportera wysłać na egzekucję Anny Boleyn, Katarzyny Howard, czy Lady Jane? Zresztą wykluczone. Dla emigracji przeszłość dalsza, niż r. 1920, nie istnieje. Siedziałam więc na krzeselku, patrzyłam i myślałam o tych, którzy tu głowy potracili. Zaczęłam myśleć o nich już wcześniej — kiedy wzorowy, jak futerał na skrzypce, ex-sierżant zatrzymał mnie na ex-zwozonym moście i uprzejmie zapytał o przepustkę. Zwłaszcza, że po chwili jeszcze uprzejmie wskazał mi drogę. A tędy właśnie szli ci, o których zaczęłam myśleć. W Krwawej Wieży, którą minęłam, stryjasek zamordował dwunastoletniego Edwarda Piątego i jego młodszego brata Księcia Yorku; trzymano tam również biskupów Cranmera, Ridleya i Latimera, zanim ich nie spalono w Oxfordzie, a przez 13 lat Sir Waltera Raleigh. I tam to napisał swoją „Historię Świata“. Ilu ich tu siedziało! Wieść mówi, że tylko dwóch zdołało uciec. Jeden to William Seymour. Co prawda, nie z Wieży Krwawej lecz św. Tomasza, ale uciekł. I pomyśleć, że w lata później, kiedy wrócił już do Anglii i został Earlem of Hertford, dobrowolnie chciał głowę położyć na pień. Żeby go ścięto zamiast Karola I. Byli w nieludzkim średniowieczu, byli ludzie. Drugi, to Lord Nithsdale i też nie z Wieży Krwawej, tylko z Lieutenant's

Lodgings. No, ale ten miał żonę, a jak kobieta co postanowi — stać się musi. Prócz tego, Lady Nithsdale była energiczna, szalenie odważna i opanowana. Dlatego mąż uniknął topora, chociaż dzieliło go od niego tylko 12 godzin. To rozumiem żona. W całym znaczeniu połowa połowy męża. Myślałam o tym wszystkim siedząc na krzeselku ogrodowym i czekając na uroczystość. Tak jak kilkaset lat temu czekano tu na czyjaś egzekucję, tak ja czekałam na ceremoniał wprowadzenia do Toweru Marszałka Polnego Earla Alexandra of Tunis jako nowego Constabla.

Zmieniają się czasy, zmieniają ludzie. Lecz nie w Anglii. Tu zmieniają się tylko czasy i ubiory. Ludzie pozostają ci sami. Na przykład strażnicy Toweru. To że wybierani są spośród wysłużonych i zasłużonych podoficerów Armii i Lotnictwa, uważam za kamuflaż, kryjący ich prawdziwe pochodzenie. Bo jak przyszli tu jeszcze w 1100 roku, tak trwają. A może tamci z 1100 wymarli i pozostali tylko ci, którym Edward VI nadał w 1552 owe paradne stroje? Sztywne kapoty gorąco czerwone, kryte złotem, z czarnymi lamówkami; czerwone pończochy związane ozdobną podwiązką, czerwono-białe kokardy przy czarnych pantoflach i na kolistych czarnych kapeluszach, a wokół szyi poczwórna, biała kryza gufrowana. Odziali się też tak dzisiaj, chowając do skrzyni codzienne granatowo-czerwone kacabajki. Kiedy Duke of Somerset, w normalnym trybie, został zamknięty w Towerze, strażnicy okazali mu dużo serca i troskliwości. Dlatego gdy później w 1547 został Edwardem VI, tak ich faworyzował. Dobrzy ludzie. Dziś jeszcze widać to na ich twarzach. Tych dwóch np., którzy pełnią w tej chwili honory domu, za czasów Henryka VIII ścieliło co wieczór łóżko królewskie, bacząc przy tym, czy kto pod pierzynkę nie podrzucił jakiegoś morderczego narzędzia. Również kamuflażem są ubiory zaproszonych gości; czarne płaszcze z Saville Row, cylindry i parasole panów, zaś futra i fantastyczne kapelusze pań. Nic jednak nie pomoże. Wiem,

że przebierają się od bardzo dawna, by z powodu długowieczności uniknąć podejrzenia o czary i pomiędzy jednym wiekiem a drugim nie spłonąć na jakimś stosie. Bo ten młody człowiek po mojej prawej, z twarzą Francuza i oskarwildowskimi oczami, w domu na pewno chadza w kaftanie aksamitnym z koronkami, a jego żona nie nosi brajtszwanców i kapelusza z białych norków, lecz czółko z welonem i zasiada przy krosnach. Albo ten drugi! Znam go doskonale. Portrety jego wiszą w Hampton Court, w Windsorze, a jeden w St James'. Zdjął dziś tylko perukę i chwilowo przystrzygł sobie rudawe wąsy. Nosa jedynie nie mógł zmienić i przez to go poznałam. Tak jak tamtego młodego, który za panowania Jerzego III zginął w Hyde Parku w pojedynku. Blizna od brody biegnie wzdłuż policzka, wprost pod cylinder. I nagle uświadamiam sobie bezsens takich rozmyślań; znów wpadam w rozterkę, bo nie wiem czy terazniejszość jest tu intruzem, czy żywa wciąż przeszłość wciska się w dzień dzisiejszy. Nie. Jestem w XX w. Bo rozlega się komenda i nadchodzi orkiestra Gwardii. Czerwone mundury, niedźwiedzie czapy. Ile razy ich widzę, przypominam sobie pogrzeb marszałka Focha w 1929. Jak wtenczas szła ich kompania honorowa! A jak w mundurze Gwardii wyglądał książę Walii! Lata minęły, a ci nic a nic się nie zmienili. I zaraz po nich nadchodzą Grenadierzy Irlandzcy z pułku Marszałka Alexandra. Idą równo jak jeden. Halt! Zamienili się w nieruchomy prostokąt i tak już został. Granatowe berety z białą kitką, białe pasy i rękawiczki, ułożone symetrycznie jak wzorek. A teraz honorowa kompania Strzelców Irlandzkich. Ci znów mają pawiowe kitki u beretów. Ten prostokąt zatrzymał się po drugiej stronie trawnika. Pod Queen's House tymcza-

DWA GA BEZ

sem, już yeomeni formują się w oddział. Każdy z berdyszem w ręku, jak przyboczna straż Henryka VII. Cóż, broń ta sama, bo ludzie ci sami. Starszy yeoman, ten który w 1553 do dnia egzekucji dozorował młodego męża Lady Jane, owej dziewięciodniowej królowej Anglii, Lorda Guilforda Dudley, stanął teraz pośrodku trawnika dzierżąc paradny topór z 16 wieku. Topór srebrny, więc nic zrobić nim nie można, ale zawsze topór. Yeomeni rozdzielili się, idą jeden za drugim i co kilka kroków któryś zostaje. Nawet nie widziałam kiedy otoczyli trawnik nieruchomym kołem, jakby do zabawy. Barwy aż rwą oczy. I wtenczas dopiero ukazał się honorowy oddział Gwardii z sztandarem W. Brytanii. Wszyscy wstali, odkryły się głowy. Z Queen's House wyszedł marszałek Alexander. W ciemnym mundurze z złotymi sznurami, z błękitną wstęgą Orderu Podwiązki, z buławą w ręce. Za nim jego zastępca, Lieutenant of Tower i ktoś trzeci, równie wysoki rangą jak wzrostem, oraz kapelan Tower w komży, z odrzuconymi do tyłu gronostajowymi wylotami. Tyle tylko, że przyjęli honory wojskowe, a już po trawniku kroczył Lord Chamberlain, z gołą głową, w dobrze skrojonym żakiecie na purpurowej poduszce niosąc klucze Toweru.

Stanowisko Constabla Toweru jest jednym z najstarszych w Anglii. Daje się zaledwie w kilka lat po Zdobyciu i nadawane bywa tylko bardzo zasłużonym i wysokim wojskowym w dowód szczególnego wyróżnienia. O ile można sądzić z kronik, ponieważ stare, nawet w Anglii, nie zawsze bywały dokładne, Marszałek Earl Alexander of Tunis jest z rzędu 150 Constablem Toweru. Ale powracam do ceremoniału.

Lordowi Chamberlain, jako przedstawicielowi królowej, oddano honory

królewskie. I co dzieje się dalej? Lieutenant of Tower odczytuje list Elżbiety II mianujący marszałka Constablem. Cisza, jak makierm siał. Prędko przebiegam wzrokiem po zebranych. Taśma czasu znów zmieniła swój bieg i powróciło barwne, czyste angielskie średniowiecze, w dodatku bardzo ekskluzywne. Kamienne mury, szmaragdowy trawnik, stare drzewa, berdysze, topór, czerwień, złoto. Nie. Bo za sobą słyszę szmer aparatu filmowego, telewizji i widzę fotografujących reporterów, a goście marszałka, mężczyźni starsi i zupełnie młodzi chłopcy, wszyscy mają jednakowe ciemne płaszcze od tych samych krawców i w ręku trzymają jednakowe cylindry. Ten widok jest symbolem Anglii. Co trwało, trwa nadal. Nie ma przerwy w historii. Ci młodzi chłopcy, za kilka lat przejmą od starszych rząd Anglii i jak tamci będą prowadzili dalszy ciąg przeszłości; będą konserwowali mury Toweru i gawędzili z yeomenami odzianymi w stroje, w jakie ich odział Edward VI.

I kiedy Lord Chamberlain skończył czytanie listu, właściwie znów nic się nie działo. Rozległy się tylko tryumfalne, bardzo piękne zresztą fanfary grane przez ośmiu trębaczy kapiących od złota. Potem Lord Chamberlain wręczył nowemu Constablowi klucze, potem starszy yeoman zdjąwszy kapelusz wygłosił formułkę „Boże chroń królową“, na co zebrani odpowiedzieli „Amen“; potem kapelan odmówił krótką modlitwę i — baczność! Hymn narodowy — ściele się na trawę sztandar wielkobrytyjski pochylony przez chorążnego. I nawet nie spostrzegłam kiedy yeomeni pościągali swoje czaty i odeszli, a nowy Constable rozpoczął przegląd wojska. Starszy yeoman zostawił topór a wziął purpurową poduszkę z kluczami, by pokazać je goś-

(Dokończenie na str. 8)

P
R
Z
E
M
Ó
W
I
E
N

PIES

— Musimy mieć psa — powiedziała żona.

Po krótkiej dyskusji zgodziłem się. Ostatecznie, pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, prawda? Oczami wyobraźni widziałem siebie ze wspaiałym świętym Bernardem (nie, niech już lepiej będzie wilczur!) na smyczy w Hyde Parku, budzącego zazdrość i pełne podziwu spojrzenia licznych miłośników zwierząt.

— Dobrze — powiedziałem.

Żona uruchomiła swoje przyjaciółki („Najlepiej jest dostać psa przez okazję, inaczej będziesz musiał zapłacić dobre pieniądze za rasowego szczeniaka“). Po trzech tygodniach, gdy wróciłem do domu z pracy, poślizgnąłem się w przedpokoju na kałuży wody.

— Parasol? — zapytałem łagodnie mojej lepszej połowy.

— Nie, to Klops — rzuciła mi w przelocie.

Zastanawiając się nad dziwną odpowiedzią, udałem się do stołowego, gdzie normalnie powinien oczekiwać głowę rodziny zasłużony posiłek. Stół był nienakryty, kuchnia chłodna.

— Obiady jeszcze nie ma? — rozpocząłem rozpoznanie.

— Otwórz sobie jaką puszkę, ja nie mam czasu — zawiadomiła żona — Muszę najpierw dać mleka Klopsowi.

Z kąta kuchni, gdzie stało drewniane pudło, wy-moszczone starym kocem, dobiegł siaby pisk. Żona pochyliła się i wydobyła z pudła dziwne, niczym wilczura czy św. Bernarda nie przypominające stworzenie.

— Kochany pieseczek, Klopsina najstodsza — roztkliwiła się, przyciskając osobliwy okaz do policzka — Popatrz tylko, jaki on śliczny — Wziąłem go niezręcznie i piesek zakwicział słabym, ale paskudnym głosem.

— Biedactwo moje — żona wydarła mi z rąk wi-szącego bezradnie zwierzaka — Cóż ty, psa nie potrafisz wziąć na ręce? Całe szczęście, że nie mamy dzieci, bo byś im krzyże połamał. Niezdara!

Jedząc zimną fasolę z zimnym mięsem z puszki, usiłowałem odpędzić od siebie złe przeczucia. Szczeniak, wiadomo, piszczy i paskudzi. Ale kiedy wyrośnie, będzie z niego pociecha. Zechcemy wyjść do kina, czy do znajomych, domu upilnuje od złodziei. Tylko cierpliwości!

— To wilk? — zapytałem z nadzieją w głosie.

— Matka wyzłica — wymijająco odpowiedziała żona.

Wprawdzie nie miałem zamiaru i okazji chodzić na polowanie, ale wyżeł duży i ładny pies, szacunek budzący.

— A ojciec? — upewniałem się.

Żona się nagle zirytowała:

— A czy ja za jego matką latałam, żeby wiedzieć, kto ojciec? Wiesz chyba, jak to jest z psami. Skąd miałem wiedzieć?

— Bądź zadowolony, że nie musiałeś za niego płacić. Dostałam go za darmo.

Słusznie! Byłem zadowolony. Ale bardzo krótko, bo życie moje uległo gwałtownej, a bardzo niekorzystnej zmianie. Wszystko w naszym domu gwałtownie przystosowało się do wymagań i potrzeb Klopsa. A nie były one małe.

Zaczynało się od rana. Przed wyjściem do biura musiałem wyprowadzać szczeniaka na ulicę, co, naturalnie, zmusiło mnie do wstawania o kwadrans wcześniej.

— Irytujesz się, że pies paskudzi w domu. Jak ma się nauczyć porządku, jeżeli nie będziemy go regularnie wyprowadzać? — argumentowała żona, wypychając mnie z łóżka.

Niewątpliwie miała słuszość. Mimo naszych wysiłków, Klops długo ozdabiał domowe linoleum i, co gorsza, dywany licznymi dowodami, że jego system trawienny jest w doskonałym porządku (tzn. działa ze zdumiewającą szybkością).

Noce Klops spędzał w naszym pokoju. Usiłowałem go zostawiać w kuchni w skrzynce, ale wtedy podnosił się tak straszliwy protest, że dla uniknięcia awantur z sąsiadami przez ścianę musiałem go przynosić do nas. Tu, naturalnie, za żadne skarby nie godził się spać w skrzynce, ale pakował się do łóżka. Kiedy dawałem mu w skórę, oboje (tj. Klops i żona) oburzali się gwałtownie.

— To okrucieństwo bić takiego małego szczeniaka! — krzyczała żona — Odbijesz mu nerki!

Klops wrzeszczał nieludzko. Kapitulowałem. Naturalnie, w połowie nocy zaczynał się kręcić i żona wysyłała mnie z nim (w płaszczu narzuconym na pidżamę) na ulicę.

— Pies musi się nauczyć porządku — mówiła stanowczo, mocniej owijając się w kołdrę.

Klops rósł i rozwijał się. Porządku istotnie nauczył się łatwo, ale w następnej fazie zaczął gryźć wszystko, co mu w pysk wpadło. Dywany, ścierki, moje pantofle, nogi od krzesel — nie miał pod tym względem żadnych przesądów. Tylko gumowej kości, którą mu specjalnie kupiłem, nie chciał ruszać.

— Szczeniak powinien gryźć. To normalne. Wy-rabia sobie szcęki i zęby — opiniowała żona.

Kłamałem, ale uległem. Pies rósł i przybierał dziwne kształty. Z koloru przypominał trochę jamnika, cierpiącego na manię wielkości.

— Mieszkańce są bardziej inteligentne od psów rasowych — twierdziła żona, dla której Klops był zdecydowanie pierwszą osobą w domu.

Klops był inteligentny. Mało tego, był złośliwie inteligentny. Kiedy kłóciłem się z żoną o jakieś jego przestępstwa, napotykałem jego bystre i pogodne spojrzenie, najwyraźniej mówiące z pogardą:

— Czego się stawiasz? Mnie i jej napewno nie dasz rady. Lepiej siedziałbyś cicho i nie zawracał głowy.

Żona uczyła go różnych sztuczek, którymi popisywał się chętnie, jak stary, trzeciorzędny aktor, zawsze oczekując na aplauz po wykonaniu tricku. Szczytowym osiągnięciem Klopsa było przynoszenie z sypialni mojej pamiątkowej złotej papierośnicy, którą wydobywał z pod poduszki i znosił do jadalni lub salonu na rozkaz: „Przynieś panu pa-

pierosy!“ Goście entuzjasmowali się inteligencją zwierzęcia, ja z żalem patrzyłem na porysowaną zębami Klopsa i zplutą jego śliną papierośnicę.

Klops bardzo lubił towarzystwo. Mimo wszelkich moich wysiłków łasił się do obcych na ulicy, w sklepach spożywczych stawał słupka, prosząc o biskwity, które wzruszone sprzedawczynią natychmiast wtykały mu do chytrego pyska. Ambicji nie miał za grosz. Dla byle starej kości gotów był demonstrować cały swój repertuar i przymilać się do potwornej starej baby, mieszkającej na rogu ulicy. Widziałem w nim żywy symbol naszych czasów. Karierowicz!

Klops nie znosił, aby go pozostawiać samego w domu. Siadał wtedy w przedpokoju, podnosił pysk w górę i wył. Po dwóch wizytach inspektora Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami zrezygnowaliśmy z chodzenia razem do kina, czy do znajomych (chyba że byli to tacy znajomi, którzy godzili się przyjmować również i Klopsa).

Ta przymusowa niewola stawała się nie do zniesienia. Pewnego dnia powiedziałem stanowczo:

— Klops czy nie Klops, idziemy dzisiaj do teatru. I uprzedzając jej protest, szybko dodałem:

— Dzisiaj jest rocznica naszego poznania się, pamiętasz?

Zona była tak wzruszona, że zgodziła się pozostawić Klopsa samego. Bydlę dostało kolosalny obiad, miskę z wodą zostawiliśmy w jego łatwym zasięgu i korzystając z jego snu, wymknęliśmy się z domu na palcach.

Niestety, chociaż sztuka i gra były doskonałe, niewiele miałem z tego przyjemności. Zona denerwowała się strasznie i ciągle szeptała mi do ucha:

— Biedny Klopsik! Co też to on tam robi?

Aż sąsiedzi cztery razy zwrócili nam uwagę.

Do domu wzięliśmy taksówkę, żeby piesek nie musiał na nas długo czekać. Trochę nas zdziwiło, że światła w całym domu były pozapalane.

— Widzisz, jak na tobie nie można polegać? — warknęła żona — Głupich świateł nawet nie pogasiłeś. A potem będziesz jęczał, że nas tyle elektryczność kosztuje.

Klops przyjął nas radośnie. W domu wszystko było porządkowane do góry nogami, a wszystkie co cenniejsze przedmioty przepadły. Na stole leżała kartka z napisanymi lewą ręką kulfonami: „Wasz piesek jest uroczy. Nadzwyczaj przyjazny i uczynny. Bez niego nigdy nie znaleźlibyśmy złotej papierośnicy“.

— Musimy oddać Klopsa — powiedziałem stanowczo.

— Zwariowałaś? — oburzyła się żona — A cóż on winien? On kocha cały świat. Gdyby wszyscy byli tacy jak on, o ileż lepiej by było nam wszystkim.

— Wybieraj, Zuzanno — oświadczyłem niewzruszony — Albo ja, albo Klops.

Nie wahała się ani chwili.

— Nie pozwolę skrzywdzić niewinnego zwierzęcia.

Taki był koniec mojego małżeństwa.

Wojciech Stefański

RĘKA NAD WODĄ

(Dokończenie ze str. 3)

które powolutku rozjechały się w przeciwne strony. Potem tą częścią dachu, na którym siedziała, zakreśliło kilkakrotnie.

Poczuła głód. Miała kromkę chleba, i kiedy ją jadła, poczuła, że jest mokra. Była mokra od łez, które padały z jej oczu, o czym nawet przedtem nie wiedziała.

Godzina czwarta! Czarno, księżyc schował się za górę. Gwiazdy przygasły w popiele nieba. Wstał wczesny świt.

A gdyby tak chwycić się drzewa? Ale małe tujsze drzewa zakryła woda i wystawały z niej tylko wiotkie gałązki. Od drzew żadnej więc pomocy oczekiwać nie mogła.

Na fali groźnej i szarej, kołysały się różne przedmioty uniesione z chat wioski, płynęły deski, zwierzęta...

Niebo skropione nagle światłem dodało jej otuchy. Z tyłu tarapatów wyszła, miała by tak głupio ginąć. Należy się jej jeszcze dużo od życia! Przede wszystkim wielka miłość! Należy się jej, nie zaznała jej jeszcze. — Idiotko, powiedziała do siebie, myśl jakby się ocalić a nie o mrzonkach!

Nagle lunął deszcz. To przepełniło czarę. Płakała głośno, wołając o pomoc w niebo.

Strzecha namakała w czasie swej jazdy, raczej powolnej ale nieustannej. Siedząc na niej, z nogami wbitymi w poszycie, poczuła, że obie są w wodzie. Los dachu był przesądzony. Jego żywot zbliżał się ku końcowi, a więc i jej chyba też.

Przez mózg przebiegać zaczęły obrazy minione. Nie łatwe życie, choć może nie było jej najgorzej. Innym było jeszcze trudniej.

Dach zapadł się, i była zdana już tylko na siebie. Płynęła w lodowatej wodzie, wypatrując jakiejś deski, której mogła by się chwycić. Oto jest deska. Ale nic z tego, obciążona idzie pod wodę. Ręce zagarniają wodę, lekko falują nogi. Przestała myśleć, zamieniła się w pracę mięśni, w zwierzętko, które walczy i walczyć będzie do końca. Wyskoczyło z za gór wielkie gorące oko. Woda pokryła się kolorem. Łąki zajaśniały. Do łak, jaknajdalej od nurtu! Tam życie i odpoczynek po trudzie płynięcia!

I ciemność. Usta piją wodę. Ciało płynie na wznak, by za chwilę wejść w niebyt. W wszechświat wód, w beztroskę niebytu!

I kiedy złote loki mają po raz ostatni załsnąć w słońcu, chwytają je dłonie. Helenę wciągają dłonie do łodzi. Ale ona nic o tym nie wie. A kiedy otworzyła oczy widzi oczy Wincentego. Tak jest zdziwiona, że tylko patrzy, patrzy długo. Czyżby i na drugim świecie byli jej przyjaciele?

Ale przecież leży na łodzi a łódź płynie, czuje to całym ciałem. I nagle pyta, wyciągając do mężczyzny rękę.

— Jak wiedziałeś, że jestem tutaj?

I słyszy męski głos — Ja zawsze wiem kiedy mnie potrzebujesz, przecież cię kocham!

Stefan Legeżyński

Ż E G L A R Z

*Jak żeglarz wracam z mórz seledynu
O rumieńcu koralowych zórz,
Jak Argonauta zmęczony płynę
Do winnic łagodnych i wzgórz...*

*W nocy samotna gwiazda świeci
Niewymierna jak przestrzeń i czas,
Zygzakiem po niebie maszt mój leci
Gdzie Drogi Mlecznej pas.*

*Tysiąc światów zabłysło gwiazdami
Roziskrzyło na firmamencie,
Wiatr igra z lekkimi żaglami,
Wiatr towarzysz na moim okręcie.*

*Odrzuciłem kompas i busolę
W wody głębokie — za burzę,
Kierunku nieba trzymać się wolę
I gwiazdy świecącej nad nurtem.*

BEZ PRZEMÓWIEŃ

(Dokończenie ze str. 5)

ciom. Dwa klucze ze złota. Ucho każdego tworzy rzeźba: miniaturowa brama Toweru z lwem brytyjskim u góry. A potem — wszystko znikło.

Patrzyłam na opustoszały trawnik. Odbyła się na nim uroczystość doniosła dla Londynu. Ceremoniał przepysznie barwny, jednak bez rygorów, chociaż wiadomo, że każdy krok był tu z góry obliczony. I mimo powagi chwili — żadnego przemówienia

żadnego gestu teatralnego, żadnego napuszenia. Wszystko z prostotą niemal domową, jakby uroczystość rodzinna.

To prawda, że jedną z tajemnic siły narodów jest tradycja. Gdy nie prowadzi się jej ciągłości, łatwo oderwać się od korzenia i wtenczas byle wichery i burza połamie gałęzie i rozrzuci liście, a te powiędną. Sławne angielskie uroczystości, to nie lubowanie się w pokazach. To stałe memento, mocno trzymać się korzenia.

Teodozya Lisiewicz

*Wicher wyje mi w uszach,
Syren głosem zawodzi,
Ostrzega mnie duch Odyseusza,
Bym własnej nie ufał łodzi...*

*Stają nademną ściany zeszlone
Zielonego jak las żywiołu,
Driady wód patrzą przerażone
Śmierci podobne aniołom.*

*Krople deszczu uderzają w płótna,
Wydzwaniając złowieszcze staccato,
Rzuca otchłań okrutna
Małą łódkę jak owad skrzydlatą.*

*Drżą liny — instrumenty,
Współdźwięczne z melodią zniszczenia.
Wiatry szarpią żagiel napięty,
Co na nagi krzyż się zamienia.*

*Zorze ogniste iskrami
Spięły niebo i wodę klamrą,
Elektryczność splywa falami,
Co jak pancierz nademną się zawrą...*

*Powietrze stężało rtęcią
Znieruchomiłe, groźne jak fatum.
Burza wstrząsa pamięcią,
Burza wieczną groźną ztratą.*

*Wyobraźnia jak żagiel napięta,
Jak żagiel odarta do kości,
W jeden węzeł splątana pamięta
Niebo krwawe i pustkę nicości.*

*Z nad żywiołu mój okręt się wspina
Tak jak rumak, co rwie się do boju
Gdzie wód groźna wyrasta wyżyna:
W wielką ciszę wiecznego spokoju.*

Z NOTATNIKA CYNIKA

Po wyroku w sprawie „Kochanka Lady Chatterley“

*Byleby przez autora mówił artyzm szczery
Może sobie używać te cztery litery;
Ale z tego nie płynie prawda oczywista,
Że kto tych słów używa, ten już jest artysta.*

Rawicz